



Mirosław Darecki

POWRÓT. ROZMOWA Z DYREKTOREM TEATRU IM. J. OSTERWY ANDRZEJEM ROZHINEM

- Przed niespełna jedenastu laty, we wrześniowym numerze „Kameny” z 1974 roku, ukazał się obszerny artykuł...

- ... twojego autorstwa

-... zatytułowany „Odejdźcie Rozhina”. Zaczynał się tak: „ A więc stało się to, co prędzej czy później musiało nastąpić: Andrzej Rozhin rozstaje się ze studenckim ruchem teatralnym, opuszcza założony przez siebie Akademicki Teatr „Gong 2” i obejmuje dyrekcję oraz kierownictwo artystyczne Państwowego Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. Czyniąc to, ma za sobą trzydzieści cztery lata życia, w tym trzydziestoletni okres pobytu w Lublinie (...). Dzięki Rozhinowi Lublin w okresie jego „dyrekcji” wysunął się – jeżeli chodzi o studencki ruch teatralny(...) – na jedno z czołowych miejsc w kraju. (...) Rozhin stworzył teatr o szerokim oddechu, nie tylko godnie partnerujący, ale okresami i ... „niebezpiecznie” rywalizujący z Teatrem im. Osterwy. (...) W ciągu trzynastu lat istnienia – 32 premiery, prawie 600 spektakli. Udział w ponad 30 festiwalach krajowych i międzynarodowych, (...) liczne nagrody. Organizacja stałej, liczącej się w życiu kulturalnym imprezy – „Studencka Wiosna Teatralna”. Wojaże teatru: po ZSRR, Jugosławia, Francji, Italii, RFN, Węgrzech. No i rzecz zupełnie niespotykana: 30 premier, a więc prawie wszystkie, jakie wystawił „Gong”, to realizacje reżyserskie Andrzeja Rozhina”.

- Dosyć, dosyć! Tą są rzeczy w Lublinie dobrze znane.

- Zapominasz, że w czasie, kiedy wojażowałeś po Polsce, wyrosło nowe pokolenie tworców oraz odbiorców kultury: ludzi, którzy w tamtych czasach liczyli sobie po kilka lub kilkanaście lat. I kiedy to robiłaś na nowo wybudowanej scenie „Chatki Żaka” „Pieśni i songi pana Brechta” czy „Dialog no Święto Narodzenia” oni bawili się piłką, a nią chodzili do teatru. Ale z drugiej strony, masz rację: w Lublinie nie tylko pamięta się dobrze lata działalności „Gangu 2”, ale żyje tutaj i pracuje spora grupa dawnej „gongowej” społeczności, która wyniosła bardzo wiele z lat swojego pobytu na tamtej scenie. Działalność „Gongu” to już historia lubelskiej kultury. Ale że historii zawrze towarzyszy legenda, więc i ja teraz -

witając się na łamach „Kamery”, jako nowego dyrektora i kierownika artystycznego Teatru im. Osterwy - chciałbym przypomnieć wieść sprzed lat jedenastu, która głosiła, że Rozhin, wyjeżdżając do Gorzowa Wielkopolskiego, miał powiedzieć, iż choć nie udało mu się przekształcić „Gongu” w drugą lubelską scenę zawodową, to ma nadzieję wrócić jeszcze do Lublina i robić tutaj teatr.

- Tak mówiłem? A wiesz, że zupełnie nie pamiętam. Ale prawdą jest, że pracując w ciągu ostatnich lat w kilku miastach Polski, prowadząc teatry w Gorzowie, Olsztynie, Szczecinie, nigdy nie odżegnywałem się od powrotu do Lublina. Inna sprawa, że nigdy też nie myślałem o ewentualnym powrocie do tamtej dawnej, lubelskiej formuły teatru z „Chatki Żaka”. To już okres dla mnie zdecydowanie zamknięty.

- „W sensie artystycznym Rozhin stronił raczej od jaskrawego, studenckiego „eksperymentowania”, siedł w kierunku pozyskania masowej widowni, prezentując przed nią tematykę niekonwencjonalną i niekonwencjonalne realizacje, ale zawsze zrozumiałe dla widza. Były tam i czysto poetyckie „składanki” i dramaty staropolskie, sztuki współczesnych polskich pisarzy i spektakle polityczne, ostre, zaangażowane. Przy takiej różnorodności tematycznej nad sceną „Gongu 3” zawsze unosiła się aura poezji. Bo też „teatr Rozhina” zawsze był i prawdopodobnie będzie (...) teatrem poetyckim”.

- To twój punkt widzenia „mojego” teatru sprzed lat. Ale czy koniecznie musimy rozmawiać o „Gongu”? W wywiadach, których udzieliłem ostatnio lubelskim gazetom...

- Dobrze. Mówmy, zatem o dniu dzisiejszym, o powrocie do Lublina i o Teatrze im. Osterwy, w którym zaczynasz właśnie reżyserować swoją pierwszą sztukę na tutejszych deskach. Ale ale... O ile sobie przypominam, przed osiemnastu laty, na tej właśnie scenie, omal nie rozpoczęła się twoja kariera „reżysera zawodowego”?

- Racja. W 1967 r. ówczesny dyrektor, Jerzy Torończyk, zaproponował mi spróbowanie sił na „prawdziwej scenie”. Byłem już wówczas, od sześciu lat zawodowym aktorem w Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie, studiowałem polonistykę na UMCS; na scenie „Gongu 2” miałem za sobą realizacje m.in. „Pieśni i songów pana Brechta”, „Elżbiety Bam” Daniela Charmsa, światowej prapremiery tej sztuki, i widowiska „Za: Kronika 1917 roku”. No, więc Jerzy Torończyk zaproponował mi zrobienie „Trismusa” Grochowiaka; pracowałem nad tekstem. Grzegorz Sądecki, nasz scenograf z „Gongu”, przygotował projekty dekoracji, mieliśmy wchodzić w próby. Ale zbliżały się wakacje, koniec sezonu teatralnego, przyszedł nowy kierownik artystyczny Kazimierz Braun i jakoś tak się ta cała sprawa rozmyła. W cztery lata później, zamiast w Lublinie, robiłem dyplom na Wybrzeżu, reżyserując, na zaproszenie dyrektora Marka Okopińskiego, „Kartotekę” Różewicza i „Lament” Choromańskiego. Teraz, jako pierwszą lubelską realizację wziąłem na warsztat najnowszą, nigdzie jeszcze nie graną, sztukę Stanisława Tyma - „Okręt”.

- Stanisław Tym, swego czasu jeden z filarów warszawskiego STS-u, znany w późniejszych latach doskonale z zawodowej sceny komediowej, z kabaretu, filmu i telewizji, prowadzi dzisiaj teatr dramatyczny w Elblągu. Jest jednym z tych, którzy, podobnie jak ty, obejmując stanowisko reżyserów, czy też dyrektorów teatrów zawodowych, mieli już za sobą duże doświadczenie, wyniesione z tak zwanego „teatru studenckiego”. Przewyższając często wielu „dyplomowanych” profesjonalistów po szkole teatralnej, którym o ileż łatwiej stały się zazwyczaj, z powodu posiadania „papierka”, początkowe szlaki kariery zawodowej...

- Tak, trzeba by tutaj jeszcze wymienić m.in. Hermana, Litwińca, Jasińskiego, Kajzera... Jedni pozostali przy swoich dawnych teatrach, które „uprofesjonalniono”, jak choćby Teatr STU czy „Kalambur”, inni reżyserują lub dyrektorują scenom tradycyjnie profesjonalnym. A jeżeli już jesteśmy przy słowie „tradycja”, to zdecydowałem się na „Okręt” Stasia Tyma, świadomie nawiązując do pewnej określonej tradycji, do początków oraz istoty pewnego zjawiska kulturowego, tego nowego oddechu, tego novum w polskiej kulturze, jakim było to wszystko, co wiązało się z istnieniem i działalnością warszawskiego STS-u. Z tym dawnym, ale wciąż przecież nie zestarzałym „esesowskim” spojrzeniem na świat, z którym się całe nasze pokolenie utożsamiało. Jest, więc w „Okręcie” dużo ironii oraz sarkazmu wobec dzisiejszego dnia, ale także gorącość serca tego samego Polaka, który przed trzydziestu laty miał dwadzieścia, a dzisiaj pięćdziesiąt lat. To jest, nawiasem mówiąc, cecha charakteryzująca bardzo wielu ludzi, którzy kiedyś przeszli przez zetempowską szkołę.

- Pamiętam nawet takie hasło? „ZSP – szkołą obywatelskiego wychowania”.

- Tamto „stare” ZSP było, istotnie, czymś w rodzaju szkoły obywatelskich postaw. Uczyło zaangażowania w sprawy kraju bez używania wielkich słów...

- ... i teatralnych gestów...

- ...popierało tych, którzy chcieli pracować społecznie, i tych, którzy mieli ambicje artystyczne. Dawało swobodę działania, szerokiego „rozwijania skrzydeł”. Myślę, że dzięki tamtej atmosferze, w której miałem możliwość wzrastać, jestem wciąż bliski czasom młodości. O wiele, jak sądzę, bliższy niż niektórzy moi równolatkowie. Działający w tamtych latach także, ale w trochę innych „parafiach”. Tamto ZSP nie było wtedy przecież ani specjalnie bogate, ani specjalnie ustosunkowane. Ale miało atmosferę. W tej atmosferze można było robić coś, właściwie... z niczego. To, co robiliśmy z „Gongiem” na przykład... Przecież ten teatr powstawał de facto z niczego, na wariackich papierach. I okazywało się, że jak bardzo się chce, to można zrobić i wielką, prawdziwą scenę w „Chatce Żaka” z pełnym wyposażeniem, i dekoracje, kostiumy, na które „nie ma pieniędzy”, i zorganizować kolejną Studencką Wiosnę Teatralną, choć dawno skończyły się stosowne fundusze. Jak w to się wszystko osobiście angażowali rektor Seidler, a następnie rektor Skrzydło...

- Chciałbym ci przypomnieć, że przed chwila mówiłeś, żebyśmy wciąż nie rozmawiali o „Gongu”...

- Ano, właśnie! Ale widocznie inaczej nie można. Przynajmniej tutaj, w Lublinie. Wiesz, dziwna sprawa: przyjeżdżam po jedenastu latach do tego miasta, i wszędzie znajomi. Jakby, jakiś most spiął tę czasową lukę, kiedy ja dyrektorowałem w Gorzowie, Koszalinie i Szczecinie, gdy byłem etatowym reżyserem w Teatrze Popularnym w Warszawie, a ostatnio w Teatrze Narodowym. Tyle scen w różnych miastach, tyle sztuk wyreżyserowanych, tylu ludzi poznanych, i oto...

- ...wychylasz się z okna swojego „dyrektorskiego” gabinetu, przy ulicy Pstrowskiego...

- A tak! Właśnie tak! Bez żartów: widzę jednego, drugiego, trzeciego „starego znajomego”, z dawnych lubelskich lat. W teatrze jest nadal Romek Kruczkowski, jest pan Aleksander Kobyliński, działa Ania Torończukowa, w stolarni młody Ostrowski mówi: „Panie dyrektorze, pan pamięta mojego ojca, stolarza w Teatrze Lalki, jak pan jeszcze pracował u dyrektora Ochmańskiego; ja po ojcu przejąłem fach i zamiłowanie do teatru.” Miło jest czuć atmosferę życzliwości i sympatii w kręgu ludzi, którym nowy dyrektor jest przedstawiany „z urzędu”. Choć wielu z nich pamięta mnie ze wspólnych działań w studenckich latach. Kiedyś razem rośliśmy. Bogu dzięki, bez konfliktów, więc jest nadzieja, że i dzisiaj stać nas będzie na wzajemne zrozumienie i współdziałanie w tej delikatnej materii, jaką jest Sztuka. Bo teatr zwykło się nazywać „świątynią Sztuki”, ale pełni on także, a przynajmniej powinien, funkcję „kulturalnego salonu miasta”...

- I przez to podlega zarówno muzom, jak i administracji.

- I jest rzeczą bezwzględnie konieczną dla dobra teatru, żeby taki właśnie stosunek zachowywał niewzruszona równowagę.

- Wróćmy do spraw Sztuki: jakiego rodzaju teatr pociąga cię najbardziej? Które ze swoich realizacji „profesjonalnych”, tych, jakich nie oglądaliśmy w Lublinie, uważasz za najbardziej znaczące?

- „Kartoteka” Różewicza; ona wyznaczyła nurt moich poszukiwań, jeśli chodzi o współczesną polską dramaturgię, a także „Dwie głowy ptaka” Terleckiego (w Teatrze Polskim w Szczecinie). Jeżeli chodzi o polską klasykę, to inscenizacja i reżyseria „Kordiana” w teatrze w Koszalinie: m. in. także z tego względu, iż udało mi się przełamać przekonanie, że w „tym” teatrze i w „takim” środowisku jest niemożliwością zrealizowanie ciekawego artystycznie, a zarazem cieszącego się dużą popularnością, spektaklu wielkiego repertuaru romantycznego. Okazało się, że teatr był stale pełen, że na przedstawienia walała także młodzież szkolna. I podobnie było z „Romeo i Julią”, moim pierwszym Szekspirem. Cenię sobie cały nurt „brechtowski” z „Matką Courage” na czele (na scenie teatru szczecińskiego) oraz realizacje ekspresjonistów niemiecki przede wszystkim „Święto wiosny” Wedekinda.

Dalej: szereg realizacji dramatów pisarzy radzieckich, począwszy od „gongowskiego” jeszcze przed stawienia „Elżbiety Bam” Charmsa, poprzez Gelmana, Wampłowa, Korina. No i anglojęzyczne: „Edukacja Rity” Russela w warszawski „Ateneum” w ubiegłym sezonie, czy „Przeprowadzka” Diamsona.

- A co w najbliższej przyszłości jeżeli chodzi o Lublin? O „Okręcie” Tyma już mówiłeś. Co jeszcze?

- W próby wchodzi również „Opera za trzy grosze”, także w mojej reżyserii, oraz „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a w reżyserii Jacka Zembrzuskiego. Tą sztuką zainaugurujemy kolejny sezon małej sceny - „Reduty 85”. Więcej nie powiem, aż u progu nowego sezonu teatralnego, na jesieni.

- Jeszcze jedno pytanie: „ustawiasz” kierowaną na przez siebie scenę w stronę repertuaru przede wszystkim współczesnego?

- W najbliższym sezonie - tak. Ale myślę też o polskim, repertuarze romantycznym. Tym najwyższej próby, odwołującym się do spraw losu człowieka i niepodległości narodu. Może „Dziady”, których na tej scenie chyba nigdy nie wystawiano? Może „Noc listopadowa”?

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 12, s. 5.